
V
B
J
C

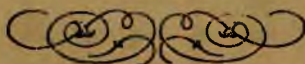
Koźmian Stan.

PODRÓŻ

Świętéj Anieli Merici

DO ZIEMI ŚWIĘTÉJ.

p. Koźmiana Stan.



W POZNANIU

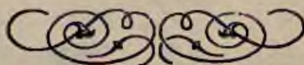
NAKŁADEM I DRUKIEM JAROSŁAWA LEITGEBRA

1882.

PODRÓŻ

Świętéj Anieli Merici

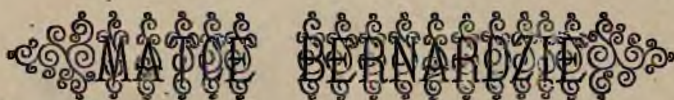
do Ziemi Swiętéj.



W POZNANIU
NAKŁADEM I DRUKIEM JAROSŁAWA LEITGEBRA
1882.


C. R. BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

CZCIGODNEJ



(MARYI MORAWSKIEJ),

niegdyś przełożonéj klasztoru Urszulanek w Poznaniu, wiersz ten, napisany w 1874 roku, w którym obchodzono czterechsetletnią rocznicę narodzin Św. Anieli

poświęca

Wdzięczny Wielkopolanin.

I.


rzy samym zrębie weneckiéj przystani
Drży rącza nawa jakby na odlocie.
Majtkowie, w szaty świąteczne przybrani,
Dzierżą już wiosła. Na masztach wstęg krocie
Igra ze stadem gołąbków w zawody.
I kogoż łódź ta czeka? Czy mocarza,
Co dąży obce podbijać narody?
Czy mórz królowa znów hojnie obdarza
Jakiego króla i skarbem i żoną?
Czy z towarami płynie kupców rzesza?
Czy pierścień ślubny sam Doża pospiesza
W Adryatyku modre rzucić łono?

I oto tłumy, zwarte we dwie ściany,
Na brzegach wznoszą okrzyk nieprzerwany:

Już idzie — idzie! — Lecz ni bogacz jaki,
Ni król, ni Doża, ni Cornaro druga,
Ale uboga Chrystusowa sługa
W szaréj odzieży, z kijem dla oznaki,
Że dąży zwiedzić, wśród świętych miejsc wiela,
To przenajświętsze, gdzie grób Zbawiciela.

Idzie w skromności wdzięku i pokorze.
Przed nią głów ludzkich pochyla się morze.
Kalecy, dzieci, cisną się na przedzie,
Biegnie senator i kupiec bogaty,
Syn starca ojca, córka matkę wiedzie,
By jeszcze mogli dotknąć się jéj szaty.
A każdy prosi kornie przyklęknięty
I do niéj ręce wyciągając obie,
Błaga o kamyk, źdźbło, pył z Ziemi świętéj,
I o modlitwę przy Chrystusa grobie.
Każdy ją żegna, jeśli brak mu słowa,
Jednem westchnieniem: Bądź zdrowa! Bądź zdrowa!
I tak uczczona, na pokład do łodzi
Po błogosławieństw wszech kwieciu przechodzi.

Wraz pomknął statek, lecz swe loty rącze
Zwalnia aż z lagun w dal się nie wyplącze.
I zda się, że to wstrzymują go w biegu

Serca i oczy stojących u brzegu,
Ją jedną widząc, bo święta niewiasta
Wszystkich promienną postacią przerasta.

Lecz gdy na pełne wybiwszy się morze,
Rozwinął żagle, już po lotnym torze
Trudno ptakowi, wnet trudno i oku
Statek doścignąć, aż wreszcie w obłoku
Sinéj mgły stajał, tam, gdzie ćmi się pręga,
Co mórz płaszczyznę z nieboskłonem sprzęga,
Za którą dla tych, co śnią u wybrzeży,
Świat tajemniczy i świat cudów leży.

Z okrętu jednak widać jeszcze szczyty
Wenecyi — białe, a gdy złotolity
Padł na nie promień zachodniego słońca,
Zda się, że płoną od końca do końca,
I że się morze, ląd i niebo garną
W jeden krąg ognia, jak w łunę pożarną.

Słońce niebawem za ziemię zapadło,
Wód wkoło miasta ściemnia się źwierciadło,
Mury bledniejąą, szarzeją i gasną.
Nastaje zmroku uroczysta chwila.
Lecz jakiż nagle blask wzbił się tak jasno?
Czy się znów słońce z pod ziemi wychyla

I senne miasto w swe objęcia chwyta?
Nie, — to ten odblask zachodnich promieni,
Co w zmroku lody alpejskie rumieni
W uśmiech pośmiertny, to światłość odbita
Od nieśmiertelnéj stolicy podnoża,
To, gdy świat zmierzchnie, wieczystości zorza.

W takim rozbłysku, uroczym z oddali,
Tęsknie Wenecyę pielgrzymi żegnali.
O! kto się z tobą, ojczyzno, rozstaje,
Choćby wędrował w najszczęśliwsze kraje,
Choćby go niosły najsłodsze marzenia,
Skrzydło nadziei lub prąd poświęcenia,
Ten we łzach zwątpień, czy cię ujrzy jeszcze,
Czuje, już czuje pierwsze śmierci dreszcze;
I niechby zaszedł aż na koniec świata,
Niechby u obcych żył tak długie lata,
Ażby mu obcym stał się już głos bratni,
Wśród walk, zmian losu, zawsze on i wszędzie
Twój drogi obraz w sercu nosić będzie,
Taką, jaką cię widział raz ostatni;
A nim sam zmierzchnie, nim go łzy umorzą,
Ujrzy cię w blasku pod wieczności zorzą.

Nie ziemskim myślom, lecz Boskim oddana,
Aniela kraj swój w Panu i dla Pana

Kochała święcie, a w kraju najdroższéj
To grono dziewic, które służbie Bożéj,
Pod jéj przewodem, majątek i siły,
Dom i rodzinę, wszystko poświęciły,
By bliźnich dziatwę, możną czy ubogą,
Walną zbawienia poprowadzić drogą.
Przejść one muszą długie jeszcze próby,
Wzmódz się, nim szaty zakonne przywdzieją.
Ona też żyje tylko tą nadzieją,
Że je wspólnemi kiedyś zwiąże śluby;
Lecz się niegodną czując takiéj chluby,
Modli się, czeka na znak woli Bożéj;
A Bóg ją wspiera, łaski swoje mnoży,
Daje jéj ciągle cudowne widzenia,
I zwątpień troski w pociechy przemienia.

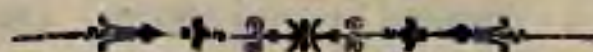
Tak dnia jednego ujrzała nad głową
Drabinę, jakby owę Jakóbową
Z ziemi do nieba sięgającą śmiało.
Po szczeblach grono dziewic wstępowało
W przejrzystych szatach, w przepaskach na skroni
Skrzących gwiazdami. Wszystkie hymn śpiewały
Ku Boskiéj chwale. Każdą Anioł biały
Wspierał, trzymając złotą palmę w dłoni,
I usłyszała głos taki: „Bądź rada,

„Gdyż tem widzeniem Bóg ci zapowiada,
„Iż cię nie pierwéj powoła do siebie,
„Aż, jak te, w zakon zbierzesz dziewic grono,
„Które przebywać mają niezmużoną
„Pracą na ziemi, a modlitwą w niebie.“

Więc, by się wzmocnić i podjąć to brzemię,
Spieszyła teraz zwiedzić świętą ziemię.
Ale cóż same siostry bez niéj poczną,
A cóż dopiero jeśli nie powróci?
To jest jéj troską, cichą, niewidoczną,
Która ją nieraz w podróży zasmuci.

Kto kiedy widział matkę, któréj dziecie
Gdzieś tam w dalekim zamieszkało świecie,
Jak swe sieroctwo wciąż biedna wspomina,
Jak czeka wieści, co dzień, co godzina,
Przeczuwa smutki i wszystkie podziela
Zawody, troski, wszystko prócz wesela;
Złéj wierzy, dobréj nie chce ufać wieści,
Nie dba o rady, pociechy niczyje,
Bo wtedy tylko radość czuje całą,
Kiedy to dziecię na swem sercu pieści,
Gdy sama widzi, że szczęsne, że żyje,
I tak ją kocha jak ją wprzód kochało....

Kto taką matkę w pamięci przechowa,
Ten pojmie troskę téj, co nie jak świecka
Ważyła najprzód ziemskie dobro dziecka,
Lecz dbała głównie, jak matka duchowa,
O tylu dziatek zwierzonych swéj pieczy
Zbawienie wieczne. —
I któż, któż uleczy
Ciężką jéj trwogę? Kto trudy olbrzymie
Podejmie za nią? Któż jéj prośb wysłucha?
Któż? jeśli nie Ta, któréj samo imię
Jest dla ust miodem, jest śpiewem dla ucha,
Sercu weselem, — matka wszystkich matek!
Jéj więc poleca cały swój dostatek,
Swoich prac żniwo, swe skarby jedyne,
Pewna, że Ona nie da zginąć marnie
Jéj i jéj dziełu, i że jéj drużynę
Wszystką pod płaszcz swój miłosierdzia zgarnie.



II.


Gdy z serca spadnie ciężki kamień troski,
Jakżeż to błogo spojrzeć na świat Boski.
Wtedy się zdaje, że ziemia tak cicha
Samym pokojem i szczęściem oddycha,
Ni cierń kaleczy, ni zdradą dopieka
Gorsza nad wszystko przewrotność człowieka.
Wtedy na morzu podróżnik, niedbały
Na burze, gromy i podwodne skały,
Płynie i obaw nawet w nim nie budzi
Gorsza nad wszystko zasadzka złych ludzi.

Tak lekko gnany powiewem swobody,
Statek pomykał przez potulne wody,
Których toń modra, co nigdy nie blednie,
Tak kryształowo była wskroś pogodna,
Że oko łatwo mogło przejrzeć do dna

Morze lazurem uścielone we dnie,
W nocy gwiazdami. Czasem tylko wskrześnie
I wzbierze fala, jakby morze we śnie
Nią odetchnęło, a gdy ją uwieńczy
Pianka uwita z migotliwéj tęczy,
Zda się tak lotną jak wiosenne życie
I wieszcze myśli na niebios błękicie.

Lecz wieszcze myśli, fale i błękity
Jedna rozwiewa chwila i zachmurza.
Wicher, w kolebce pogodą spowity,
Nagle w olbrzyma rozpowija burza.

I dnia czwartego szczęśliwéj żeglugi,
Na nieboskłonie od wschodniéj krawędzi,
Ujrzano z statku pas ciemny a długi.
Wnet się do góry wznosząc ta mgły pręga,
Dwoma skrzydłami coraz wyżéj sięga,
I jak ćma straszna wprost na statek pędzi.
Zbliża się, zwiększa i już nań zapada;
Niby sęp, zanim cios śmiertelny zada,
Wkoło go ściska skrzydłami zwartemi,
Znać, że w łup wichrom chce go porwać z ziemi.
Morze się pieni, wre w głębiach nawała,
Jakby ofiarę wprzód pochłonąć chciało.
O źdźbło to walczą dwie olbrzymie moce,

Jedna się z drugą ściera i szamoce.
Straszne igrzysko, szalone to boje,
Zda się łódź kruchą rozszarpią na dwoje.
Ona drży, pęka. Woda mknie przez ścianę,
Już żagle zdarte, już maszty zrąbane.
Ster prysnął. Ciemność — nic nie widać zgoła,
Nikt o ratunek ludzki już nie woła,
Każdy Boskiego żebrze zmiłowania,
I trwożny śmierci na pokład się słania,
Krzyżem padając.
W tem pośrodku łodzi,
Jak gdy jutrzenka z nocnych obsłon wschodzi,
Wyniosła postać i przejrzyście biała
Zwiastunnem światłem nagle zajaśniała —
Anioł zbawienia! Zda się w pokład wrosła,
Stoi bez ruchu, a kiedy wmodlona
W niebo oczyma, w górę krzyż podniosła,
Wraz się rozdziera czarna chmur opona,
Burza odbiegła, ciskając ponury
Tylko grom zdala.
W około Anieli
W dziękczynnych modłach pielgrzymi klęczeli,
A przez rozsnute nad niemi lazury
Zdało się widzieć, jak aniołów chóry
Zwijały nimbus nad głową Anieli.

Wraz się majtkowie zabierają rączo
Naprawić statek, wraz wodę zeń sączą.
Łatają szpary, przybijają ściany;
Ale napróżno! Statek skołatany,
Bez steru, masztu, na bok pochylony,
Miota się, krąży wciąż na wszystkie strony.
Morze ucichło. Miałyżby te cisze
Przemódz to, czego nie przemogła burza?
Noc kir zasnuła. Biedny, ledwie dysze,
Już po sam pokład szybko się zanurza.
Niechybnéj zgubie pielgrzymowie zdani
W krzyk: „Ratuj Boże!“ —Wysłuchał. O! dziwy!
Wraz z brzaskiem dziennym jakiś prąd szczęśliwy
Wprost do kreteńskiéj zawiódł ich przystani.

Podczas gdy w Kanie*) statek naprawiano,
Aniela zwiedza kościoły co rano,
Potem wybiega na najwyższą wieżę,
Lub na wyniosłe z południa wybrzeże,
I tam na kleczkach kornie rozmodlona,
Ku Ziemi świętéj wyciąga ramiona,
Jak gdyby chciała zbliżyć ją do siebie.
Każdy też obłok zda się jéj na niebie
Wędrować ztamtąd, każdy ku jéj stronie
Powiew nieść ztamtąd drzew oliwnych wonie,

*) Miasto główne na wyspie Krecie, dzisiejszéj Kandyi.

I dźwięk, szmer każdy wzywać, by co siła
Na miejsca święte z drużyną spieszyła.

I dnia jednego pielgrzymów swych grono
Zawiodła na brzeg, i zmrużywszy oczy
Opowiadała wymową natchnioną,
Że palestyński kraj, chociaż daleki,
Widzi przed sobą cały tak uroczy
Jakby na dłoni. Lecz kiedy powieki
Znowu rozwarła—cóż to? czy mgłą czarną,
Czy grubem bielmem zaszły jéj źrenice?
Woła. Pielgrzymi do jéj stóp się garną,
Zbladłe jéj, zmierzchłe pocierają lice;
Trudno już wątpić. Oczy jéj zasnute
Kirem ślepoty. Czy to za pokutę,
Że wyprzedzając dar Boży zbyt śmiało,
Już jéj się widzieć tę ziemię zdawało,
Do któréj progu Bóg przez poczet długi
Najcięższych trudów wiedzie — dla zasługi?
Czy też zamierzył doświadczyć ją w wierze
I w wytrwałości, która łamie lody,
Przenosi góry, i z każdéj przeszkody
Nową zachętę, świeży pochop bierze?

Tak swą niedolę pojmuje Aniela,
Więc nie narzeka, ale się uśmiecha

Słodkim uśmiechem tym, co uwesela
Smętne a słodkie ociemniałych lica,
Bo ufa, że wnet nadpłynie pociecha,
Którą wyjedna im Bogarodzica.

I gdy ją naglą pielgrzymi w rozpaczy,
By do dom wracać, ona im tłómaczy,
Iż teraz przyszła dla nich pora właśnie
Dowieść, że nigdy wiara ich nie gaśnie,
Okazać wdzięczność Bogu, co, niech pomną,
Już ich wybawił z najburzliwszych toni.
On ich od dalszych przeciwieństw ochroni.
Więc cierpliwością cichą a niezłomną,
Tą przedłużoną bezkreśnie nadzieją,
Niech Jego łaskę wyprosić umieją.
Dla niéj najwyższą będzie już nagrodą,
Jeśli kalectwem tkniętą, bez sposobu
Już dojść do celu, w święty gród zawiodą,
Jeśli się dotknie kolebki i grobu
Chrystusa Pana, i jeśli w tym zdroju
Zaczerpnie siły, męztwa i pokoju,
Światła, przy którem ziemskie słońca blaski
Mierzchną jak marne i przelotne cienie,
I które hojnie strumieniami łaski
Tkniętym ślepotą śle jasnowidzenie.



III.

łyną więc daléj. Statek prosto zmierza
Do portu w Joppe. Już widać wybrzeża,
Wieże, domostwa i warownie miasta.
Ale w pielgrzymach tęskna trwoga wzrasta
Im bliżsi brzegu. Czemże to się dzieje,
Że zdala patrzym spokojniéj w nadzieję,
A gdy się spełnić ma ona za chwilę,
Natenczas obaw obsacza nas tyle,
Że się nam widzi, iż w lot tę nadzieję
Lada prąd zwichnie, lada wiatr rozwieje?

I jedna tylko wśród lękliwych wiela
Tem silniéj ufa i wierzy Aniela,
Im ją Bóg cięższą nawiedził niedolą,
Bo krzyże, wzięte ochoczo, nie bolą.

Jakoż niebawem do brzegu dobili.
I któż opisze radość ich w téj chwili,
Która się z ziemską najwyższą rozkoszą
Porównać nie da? Nasamprzód wynoszą
Anielę na ląd. Wdzięczna i szczęśliwa,
Choć nic nie widzi, z rąk ich się wyrywa,
Pada i ziemię wrzeniem łez gorącem,
I pocałunków pokrywa tysiącem.

Wstała, i zaraz radosna jéj rzesza
Ku Jeruzalem, ile sił, pospiesza
Drogą, jak gdyby kobiercami słaną
W świeżych, wiosennych traw i kwiatów wiano.
Nie są te dla niéj, ale dla niéj owe
Trwalsze, cudniejsze, świętsze, które rosną
Tam, gdzie jak myślą budzona żałosną
Marzy, że przeszły stopy Chrystusowe.

Wnet coraz cięższa droga, bo się wnurza
W jary, wąwozy, wstępuje na wzgórza.
Idą, a skoro w skał wapiennych bieli
Gród Dawidowy w trzecim dniu ujrzeli
W blasku, co siała promienność poranna,
Padli na klęczki. Poczem — o dniu błogi!
Krocząc śladami apostolskiéj drogi,

I wyśpiewując: Hozanna! Hozanna!
W jerozolimskie święte weszli progi.

I wraz ją naglą, niech z nimi bezwłocznie
Zwiedzać najświętsze pamiątki rozpocznie.
A ona na to: „Najpierwszą pamiątką
Dla nas być winna ta uboga grota,
Gdzie przyszło na świat Boże niewiniątko,
I gdzie przedwieczne zabłysło nam słowo.
Tam idźmy najprzód, nim drogą krzyżową
Wejdziem, gdzie światu panuje Golgota.“

Do Betleemskiéj więc dążą gospody.
„O! Boże światło! — rzecze, gdy schylona
Zrąb, gdzie stał żłóbek, objęła w ramiona—
Coś w téj stajence światu zajaśniało,
I ztąd rozbłysło na wszystkie narody,
Racz mnie oślepłą przejąć na wskroś całą,
Bym okiem wnętrznem rozpoznała drogę,
Na któréj jeszcze służyć Tobie mogę.“

I usłyszała dźwięczny głos z pod skały:
„Służ, jak poczęłaś, wychowuj mistrzynie,
Któreby młodzież wykształcać umiały.
Boskie to światło co na ludzi płynie,

Duszę maluczkich najprzód rozpromienia.
Czysty ten płomień chrońcie od przyćmienia,
Niechaj przebija świata mgły ponure,
Jasno i prosto zawsze dążąc w górę."

Już zmrok. Czas wracać. Lecz jeszcze pątnicy
Nie mogą rzewnéj oderwać dziewicy,
Która na dalsze żywota koleje
Pragnie zaczerpnąć ztamtąd jak najwięcéj
Promieni, jakie jeszcze dziś tam sieje
Dzieciątka Jezus uśmiech niemowlęcy.

I tak nim była w światło przemienioną,
Że kiedy w górny kościół weszli społem,
Gdzie mnogie lampy najrzęsiściéj płoną,
Zdała się z niebios przywianym aniołem,
Co ćmi swą jaśnią wszystkie blaski ziemi.
A gdy wracali w miasto, nad nią, przy niéj,
Szła taka światłość, jak ta, co srebrnemi
Szlakami wiodła Mojżesza w pustyni.

Nazajutrz jęli wraz z najrańszą zorzą
Nawiedzać każde miejsce, co się święci
Czcią jak najżywszą w chrześcian pamięci.
Na każdem klęcząc modlą się i korzą.

Ona nie widzi, ale jéj odsłania
Wszystko wzrok duszy i do serca zbliża.
Tak idąc śladem, którym od pojmania
Szedł w poniżeniu Zbawiciel do krzyża,
Wstąpili wreszcie na cierniste tory,
Jakiemi Chrystus, Boski mistrz pokory,
Niosąc na barkach grzechów ludzkich brzemię,
Krwią swą najdroższą znojnie skrapiał ziemię.

Aniela, idąc tą twardą koleją,
Nie chce nikomu już podawać ręki,
Wciąż się jéj nogi i plączą i chwieją
I potykają... Lecz ilekroć razy
Upadnie, składa swemu Zbawcy dzięki,
Że znosi choćby cząstkę Jego męki,
Że o te same kaleczy się głazy,
I że choć kropla krwi jéj na nie spłynie.

Tak na Golgotę weszli o godzinie
Męki najświętszéj; a gdy wnikli w progi
Przybytku, który pod swym stropem mieści
Piętna najsroższych Chrystusa boleści,
Wskroś ich przejmują takie dreszcze trwogi,
Taka ich żałość, taki strach ogarnia,
Jakby przed nimi cała się męczarnia

Krwawo spełniała pod zbawienia tęczą.
Trudno już głosu wstrzymać, a więc jęczą,
Padając krzyżem, gdzie w skałę krzyż wbito,
Potem klękają przed kamienną płytą,
Na któréj Boskie namaszczono zwłoki,
A ztąd się spieszą wczołgać do opoki
Grobu Pańskiego.
Tu złóż wszystkie nędze,
Pobożna duszo, bo w całéj potędze,
W całéj wielkości tu ci się odsłania
Przez śmierć i boleść tryumf zmartwychwstania.
Tu pojmiesz, czemu i czemś jest na świecie,
Poznasz, że żaden ból nie ginie marnie,
Tu dobroć Stwórcy twa myśl wręcz ogarnie,
I wdzięczne dziecię zapłaczesz jak dziecie.

Łzami takiemi Aniela płakała,
U grobu Pana padłszy na kolana,
Tak się gnąc na wskroś boleścią złamana,
I taka blada jak kwiat, gdy opada,
Że zda się duch jéj już uleciał z ciała;
Lecz choć cierpiała każdą Mistrza raną,
Jakby ją samą na krzyż przybijano,
Było jéj przecież widno, bo duch Boży
Wiał po jéj duszy z niebiańskich przestworzy.

A nad nią w pełni słonecznéj jaśniała
Chwała ofiary i zmartwychwstań chwała.

Jak grono niewiast, co w grobie szukało
Mistrza, by drogie namaścić tam Ciało,
A nie znalazłszy, rozniosło wnet błogą
Wieść, że zmartwychwstał, tak tą samą drogą
Teraz zstępując, radośnie spieszyli
W miasto pielgrzymi, jak gdyby w téj chwili
Przez nich wszechświatu zwiastunni anieli
Cud zmartwychwstania znów obwieścić mieli.

Szczęśni, że główny, wielki cel podróży
Już osiągnęli, chcieliby najdłużéj
Zostać w dziedzinie, gdzie każdy zakątek
Tryska zdrojami najświętszych pamiątek.
Lecz na pielgrzymkę czas im oznaczony
Wzywał i naglił ich w rodzinne strony.
Więc się kwapili uzbierać troskliwie
Coś z każdéj grzędy na téj żyznéj niwie,
Jak pszczoły z kwiatów, garnąc wspomnień miody
Dla przyszłych trudów i cierpień osłody.

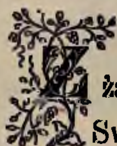
I w dniu ostatnim, kiedy po raz wtóry
Do stóp Syońskiéj zbliżali się góry,

Nagle stanęli u jasnéj krynicy.
„To Siloe! — wszyscy krzyknęli pątnicy —
Chrystus ślepemu wrócił wzrok tą wodą!“
I wraz Anielę na brzeg zdroju wiodą.
„Ufajmy — mówią — wierzmy Chrystusowi,
On tu i naszę Anielę uzdrowi.“
Lecz ona: „Boskich wyroków nie minę.
Jeśli mam przejrzeć, miejsce, dzień, godzinę,
Sam Chrystus znajdzie. Dziś starczą mi blaski,
Które u grobu wzięłam z Jego łaski.
One przez całe życie mnie powiodą,
Natchną wewnętrznem światłem i swobodą.
Czyż dziś mi nie dość tego zmiłowania,
Które, świat kryjąc, niebiosa odsłania?“

Taką na podróż siłą uzbrojona,
Mężnie nietylko w swéj duszy pokona
Boleść z rozstania z świętych miejsc dziedziną,
Ale i w sercach swoich towarzyszy
Tak wszelką skargę i żałość uciszy,
Że, choć ze smutkiem, wraz ztamtąd odpłyną.



IV.



Z żalem, tęsknotą, lecz pokornie zdani
Swéj przewodniczce, z Joppejskiéj przystani
Dążą do Krety, a wysiadłszy w Kanie,
Pragnąc raz jeszcze spojrzeć, na rozstanie,
Ku Ziemi świętéj, i dostrzedz w lazurze
Choć cień jéj jaki, weszli na to wzgórze,
Gdzie kres podróży raz pierwszy objęli,
I gdzie mrok zapadł na oczy Anieli.

Pierwsza tam teraz, z wdzięczności spłakana,
Dziękując Bogu, padła na kolana,
Że jéj nie wtrącił w ciemności odmęty,
Ale za jeden zmysł ciału odjęty
Dał jéj sto innych, któremi zdołała
Nie już tak słabym, nędznym wzrokiem ciała,
Lecz wzrokiem duszy poznać doskonale,

Pojąć, przeniknąć wszystko, co ku chwale
Chrystusa Ziemia święta przechowała.
„Tu właśnie, Panie, przyjm najgłębsze za to
Me dzięki — rzekła — że ziemskich ócz stratą
Mnie nawiedziłeś, a dałeś te oczy,
Co, gdy śmiertelnym świat się wskroś zamroczy,
Widzą tak jasno, jak w samo południe.
O! i w téj chwili, o jakżeż przecudnie
Sięga swem światłem do tego przyłądka
Każda Twéj ziemskiéj podróży pamiątka!
W każdą z nich wzieram, dotykam rękoma,
Zda się, że w rysach wszystkich swych widoma,
Jasna, promienna, stoi tuż przedemną!
Lecz cóż to? cóż to? Nagle jakieś ciemno
Kryć mi poczyna me jasnowidzenie,
Jak gdyby ziemskie zachodziły cienie
Na światło niebios, na postać Chrystusa.
Jestże to obłęd, czy grzeszna pokusa,
Czyli w złudzenia płodna wyobraźnia?
Coraz się bardziéj mgła ta rozwyraźnia,
Wszystko wkoło mnie ziemskie kształty wdziewa,
Wszak to mi znane brzegi, ląd i drzewa.
A więc śmiertelny wzrok mi zwracasz, Panie?
Wróć, kiedy tak chcesz, lecz niech mi zostanie
Ów droższy, którym na ziemi i niebie

W całéj Twéj chwale oglądałam Ciebie.
Dajesz czy bierzesz, niech Ci ziemia cała
Wciąż wyśpiewuje: Chwała Tobie, chwała!"

Aniela wstaje. Zdumiona gromada
Najprzód w milczeniu do nóg jéj przypada,
I nie śmie wierzyć, aż póki do koła
Nie obdzieliła wszystkich swém spojrzeniem.
Natenczas cała rzesza wraz zawoła
Okrzykiem, który wstrząsł niebios sklepieniem
I wzruszył morza bezdenne odmęty:
„Bądź, bądź uwielbion, Święty, Święty, Święty!"

Z takim okrzykiem wiodą ją do łodzi,
A już tłum z miasta drogę im zachodzi.
Cisną się do niéj chromi, niemi, ślepi,
Ufni, że wszystkich dotknięciem ukrzepi,
I cud doznany stokrotnie rozmnoży;
Lecz cuda Boże nie w mocy człowieka,
Więc wszystkim, kładąc na czole znak Boży,
Tylko swe za nich modły im przyrzeka...
A sama spieszy stanąć na okręcie,
Bo wie, że kiedy Bóg jéj wzrok powraca,
Znać, iż ją czeka nieodzowna praca,
Co jéj pragnienie winna spełnić święcie,

By mogła wkrótce na Weneckiéj ziemi
Związać swe siostry ślubami wspólnemi.

Lekko jéj nawę niesie żagiel wzdęty.
Przy niéj ozdobne dwa inne okręty
Kupców weneckich, ze świetną drużyną
I plonem zbytków, jak olbrzymy płyną.
Szła dnia pierwszego żegluga wspaniale,
Ale już w nocy, nad samem zaraniem,
Gwałtowna burza rozwścieckliła fale;
Straszna swą siłą, a straszniejsza trwaniem,
Sześć dni szalała na stu mil przestrzeni.
Przez cały czas ten pielgrzymi skupieni
Koło Anieli, widząc, jak wciąż ona
Trzyma, jak Mojżesz, wzniesione ramiona,
Bezpiecznie modłom jéj się powierzali,
Pewni, że Bóg ich w jéj imię ocali.

Po złym tygodniu zabłysła niedziela,
Pełna otuchy, dzięków i wesela.
Pielgrzymi śledzą najprzód, co się stało
Z kupieckich statków parą okazałą.
Nic, nic nie widać. Wreszcie na ostatku
Sternik spostrzega, jak za prądem statku
Wiosła i maszty, i deski i belki,

Odłamy ozdób i lżejszy sprzęt wszelki,
Pieniąc się niesie rozbujała fala,
I z boku na bok skręca i przewala.
„Już się nie łudźmy wątpliwością żadną,
Że te okręty poszły oba na dno,
Orkan ocalił ten nasz statek lichy,
A zgniótł przybory próżności i pychy“ —
Rzekł, a gdy bystréj wzrok w przestrzeń wymierza,
Widzi, że i tę nawę ich zbawioną
Na Berberejskie wiatr zagnał wybrzeża.
Skąd pod skał wgiętych zebrane zasłoną,
Pędzą wprost ku nim mnogie zbrojne łodzie
Dzikich korsarzy. Ah! czyliżby oni
Ujść nie zdołali téj strasznéj pogoni?
Mieliżby uledz najsroższéj przygodzie?
Pójść w jassyr łotrom? — Nie — Ten, co z czeluści
Morza ich wyrwał, tego nie dopuści.
Wraz się też z boku wyrwał wiatr szalony,
Rozproszył zbrojne statki na wsze strony,
A nawę włoską pognał ku ojczyznie,
I wnet ją brzegi powitały bliźnie.

Przyjaznym wiatrem wciąż na północ gnani,
Stanęli wreszcie w Weneckiéj przystani,
A ledwie zwinne z rąk złożyli wiosła,

Już wieść sługębna po mieście rozniosła,
Jak był ich powrót trudny i wątpliwy,
Jakie w podróży spotkały ich dziwy,
Burze, zasadzki, Anieli ślepota,
I ta najdroższa chluba jéj żywota,
Cud ozdrowienia.
Ozwały się dzwony.
Zbiega się zewsząd tłum zaciekawiony,
By tę powitać, którą już poczęto,
Kochać, uwielbiać i nazywać Świętą.
I ona czule wśród przyjaciół wiela
Wita najbliższych, pamiątki rozdziela.
Lecz by ujść hołdów i wytrwać w pokorze,
Idzie co prędzéj ukryć się w klasztorze.
A dni następnych, ochoczo, wytrwale,
Służy ubogim, nawiedza szpitale,
Wszędzie głód, nędzę i smutek rozprasza.
Ubodzy mówią: „To zbawczyni nasza!“
„To nasz stróż Anioł!“ — powiadają chorzy.
I takie w mieście dobrodziejstwa mnoży,
Że najprzedniejsi chcą obywatele
W pieczy nad ludem stawić ją na czele.
Lecz ona, widząc w wszelakim zaszczycie
Przeszkodę dziełu, któremu swe życie
Całe oddała, uszła po kryjomu
Do rodzinnego i miasta i domu.

Do Brescii wszystkie na jéj powitanie
Zbiegły się siostry, w nadziei, że stanie
Teraz ich zakon. Przezorna, ostrożna,
Rzecze im ona: „Nie, jeszcze nie można.
Kiedy się czasy wypełnią, Bóg z nieba
Da nam znak jawny. Jeszcze wprzód nam trzeba
Przejść przez rozliczne przeszkód ziemskich ciernie.
Niech więc tymczasem każda biednym wiernie
Służy z osobna, naucza i leczy,
Mistrzyni świętéj nad bliźnimi pieczy,
A gdy zasłużym, w naznaczoną porę
W jeden was zastęp, choć najniższa, zbiorę.“

Spełna lat dziesięć jeszcze przeminęło,
Zanim rozwinąć mogła święte dzieło.
Głody, zarazy, wojenne zasadzki,
I niedowiarków podstęp świętokradzki
Stawał jéj w drodze.
Wreszcie utęskniona
Nadeszła pora. Jawią się znamiona
Boskich wyroków i za łaską Bożą
Błogie Anieli widzenia się mnożą.
W jednem z nich błyska barw przecudnych tęcza,
A na niéj schodzi z swych dziewic orszakiem
Święta Urszula, i sztandar jéj wręcza,

Mówiąc: „Idź śmiało, mężnie pod tym znakiem
Rycerko Boża, w świat na bojowanie.
Krusz pęta grzechu, ciemnoty okowy,
Szczep latorośle, a z czasem ród nowy
Dzielny i wierny z tego pnia powstanie.“

Pełna otuchy, ufna w to przymierze,
W wzniosłe to hasło i duch w niem proroczy,
Świętą Urszulę za patronkę bierze,
Pod jéj wezwaniem swe siostry jednoczy,
Wiąże ustawą, i w wspólnéj naradzie
Pierwszy fundament zakonowi kładzie.

Lecz ujrzeć końca budowy nie miała.
Pan ją dojrzałą uznał do nagrody,
I w chór aniołów wezwał, a jéj chwała
I cześć powiała przez wszystkie narody.

Wzmogło się w zakon niebawem jéj dzieło;
Strażą nauki i cnoty i wiary,
Po wszystkich ziemiach, jak twierdza stanęło;
I w sercu dziewic Boskie szczepiąc dary,
Wzbiło je w szczytne macierzyństwa cele,
I w zbawczych pracach stawiło na czele.

I dzisiaj, chociaż prześladowcza tłuszcza
Do owych strażnic ciągle szturm przypuszcza,

Choć z nich bezbożność załogę wygania,
Wierne wielkości swego powołania,
Córki Anieli i Świętéj Urszuli,
Kędy je tylko jaki kraj przytuli,
Kształcą mu dziatki, by rosły za młodu
Na chwałę Bogu i szczęście narodu.

Więc dziś, gdy cztery upływają wieki
Od światu błogich narodzin Anieli,
Cały się zastęp jéj córek weseli,
I przyzywając ciągłéj jéj opieki,
By w jéj ślad mogły pracować wytrwale,
Pieśń uroczystą wznoszą ku jéj chwale:

Czterowiekowéj hołdem pamięci
Niechaj dzisiejszy dzień nam się święci,
Niechaj się wszyscy wierni weselą,
Wznosząc ku Tobie w tkliwéj podzięce,
Serca i ręce,
Święta Anielo!

Duchem, co płonie w Twoim zakonie,
Ty wychowujesz na wiary łonie
I Kościołowi najczulsze dziatki,
I te, co drogę przyszłości ścielą,
Narodów matki,
Święta Anielo!

I wciąż się spełnia widzenie Twoje.
Oto wstępuje w niebios podwoje
Poczet Aniołów z córkami Twemi,
Co przebywały, biorąc wzór z Ciebie,
Pracą na ziemi,
Modlitwą w niebie.

W ich ręku palmy, jak słońca blaski,
To męczenniczek miłości godła.
Nad ich skroniami promienie łaski,
Co je przez trudy najcięższe wiodła,
Przecudnie płoną
Chwały koroną.

O módl się za nas, byśmy zdołały
Stać się godnemi naszych siostr chwały,
I abyś mogła pokornem gronem
Stawić nas z chlubą wszystkie przed tronem
Boga-Rodzicy,
Matki-Dziewicy.

A dziś, wśród burzy, weź w swą obronę
Naszéj opiece dziatki zwierzone,
By bez skaz przeszły świata pustkowie,
I mogły z niebem stwierdzać przymierze,
W nietkniętéj wierze,
W ojczystéj mowie.

Wyproś u Boga już zmiłowanie,
By prześladowcy cudem przejrzeli.
Wolni ślepoty, niech się ukorzą,
I niechaj zgoda i mir nastanie
Zwiastunną zorzą
Wieków niedzieli.

Więc w téj nadziei i w téj pamięci
Niechaj dzisiejszy dzień nam się święci —
Gdy w świecie smutek, w Bogu wesele —
Wznośmy w niebiosa hymny i psalmy,
Błagajmy, chwalmy
Świętą Anielę.













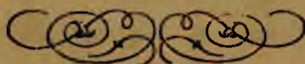
Koźmian Stan.

PODRÓŻ

Świętéj Anieli Merici

DO ZIEMI ŚWIĘTÉJ.

p. Koźmiana Stan.



W POZNANIU

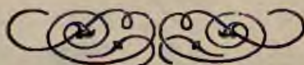
NAKŁADEM I DRUKIEM JAROSŁAWA LEITGEBRA

1882.

PODRÓŻ

Świętéj Anieli Merici

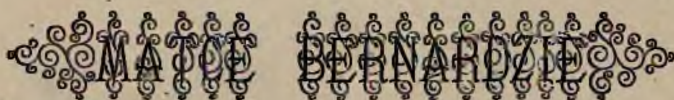
do Ziemi Swiętéj.



W POZNANIU
NAKŁADEM I DRUKIEM JAROSŁAWA LEITGEBRA
1882.


C. R. BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

CZCIGODNEJ



(MARYI MORAWSKIEJ),

niegdyś przełożonéj klasztoru Urszulanek w Poznaniu, wiersz ten, napisany w 1874 roku, w którym obchodzono czterechsetletnią rocznicę narodzin Św. Anieli

poświęca

Wdzięczny Wielkopolanin.

I.



rzy samym zrębie weneckiéj przystani
Drży rącza nawa jakby na odlocie.
Majtkowie, w szaty świąteczne przybrani,
Dzierżą już wiosła. Na masztach wstęg krocie
Igra ze stadem gołąbków w zawody.
I kogoż łódź ta czeka? Czy mocarza,
Co dąży obce podbijać narody?
Czy mórz królowa znów hojnie obdarza
Jakiego króla i skarbem i żoną?
Czy z towarami płynie kupców rzesza?
Czy pierścień ślubny sam Doża pospiesza
W Adryatyku modre rzucić łono?

I oto tłumy, zwarte we dwie ściany,
Na brzegach wznoszą okrzyk nieprzerwany:

Już idzie — idzie! — Lecz ni bogacz jaki,
Ni król, ni Doża, ni Cornaro druga,
Ale uboga Chrystusowa sługa
W szaréj odzieży, z kijem dla oznaki,
Że dąży zwiedzić, wśród świętych miejsc wiela,
To przenajświętsze, gdzie grób Zbawiciela.

Idzie w skromności wdzięku i pokorze.
Przed nią głów ludzkich pochyla się morze.
Kalecy, dzieci, cisną się na przedzie,
Biegnie senator i kupiec bogaty,
Syn starca ojca, córka matkę wiedzie,
By jeszcze mogli dotknąć się jéj szaty.
A każdy prosi kornie przyklęknięty
I do niéj ręce wyciągając obie,
Błaga o kamyk, źdźbło, pył z Ziemi świętéj,
I o modlitwę przy Chrystusa grobie.
Każdy ją żegna, jeśli brak mu słowa,
Jednem westchnieniem: Bądź zdrowa! Bądź zdrowa!
I tak uczczona, na pokład do łodzi
Po błogosławieństw wszech kwieciu przechodzi.

Wraz pomknął statek, lecz swe loty rącze
Zwalnia aż z lagun w dal się nie wyplącze.
I zda się, że to wstrzymują go w biegu

Serca i oczy stojących u brzegu,
Ją jedną widząc, bo święta niewiasta
Wszystkich promienną postacią przerasta.

Lecz gdy na pełne wybiwszy się morze,
Rozwinął żagle, już po lotnym torze
Trudno ptakowi, wnet trudno i oku
Statek doścignąć, aż wreszcie w obłoku
Sinéj mgły stajał, tam, gdzie ćmi się pręga,
Co mórz płaszczyznę z nieboskłonem sprzęga,
Za którą dla tych, co śnią u wybrzeży,
Świat tajemniczy i świat cudów leży.

Z okrętu jednak widać jeszcze szczyty
Wenecyi — białe, a gdy złotolity
Padł na nie promień zachodniego słońca,
Zda się, że płoną od końca do końca,
I że się morze, ląd i niebo garną
W jeden krąg ognia, jak w łunę pożarną.

Słońce niebawem za ziemię zapadło,
Wód wkoło miasta ściemnia się źwierciadło,
Mury błednieją, szarzeją i gasną.
Nastaje zmroku uroczysta chwila.
Lecz jakiż nagłe blask wzbił się tak jasno?
Czy się znów słońce z pod ziemi wychyla

I senne miasto w swe objęcia chwyta?
Nie, — to ten odblask zachodnich promieni,
Co w zmroku lody alpejskie rumieni
W uśmiech pośmiertny, to światłość odbita
Od nieśmiertelnéj stolicy podnoża,
To, gdy świat zmierzchnie, wieczystości zorza.

W takim rozbłysku, uroczym z oddali,
Tęsknie Wenecyę pielgrzymi żegnali.
O! kto się z tobą, ojczyzno, rozstaje,
Choćby wędrował w najszczęśliwsze kraje,
Choćby go niosły najsłodsze marzenia,
Skrzydło nadziei lub prąd poświęcenia,
Ten we łzach zwątpień, czy cię ujrzy jeszcze,
Czuje, już czuje pierwsze śmierci dreszcze;
I niechby zaszedł aż na koniec świata,
Niechby u obcych żył tak długie lata,
Ażby mu obcym stał się już głos bratni,
Wśród walk, zmian losu, zawsze on i wszędzie
Twój drogi obraz w sercu nosić będzie,
Taką, jaką cię widział raz ostatni;
A nim sam zmierzchnie, nim go łzy umorzą,
Ujrzy cię w blasku pod wieczności zorzą.

Nie ziemskim myślom, lecz Boskim oddana,
Aniela kraj swój w Panu i dla Pana

Kochała święcie, a w kraju najdroższéj
To grono dziewic, które służbie Bożéj,
Pod jéj przewodem, majątek i siły,
Dom i rodzinę, wszystko poświęciły,
By bliźnich dziatwę, możną czy ubogą,
Walną zbawienia poprowadzić drogą.
Przejść one muszą długie jeszcze próby,
Wzmódz się, nim szaty zakonne przywdzieją.
Ona też żyje tylko tą nadzieją,
Że je wspólnemi kiedyś zwiąże śluby;
Lecz się niegodną czując takiéj chluby,
Modli się, czeka na znak woli Bożéj:
A Bóg ją wspiera, łaski swoje mnoży,
Daje jéj ciągle cudowne widzenia,
I zwątpień troski w pociechy przemienia.

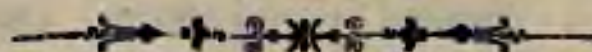
Tak dnia jednego ujrzała nad głową
Drabinę, jakby owę Jakóbową
Z ziemi do nieba siegającą śmiało.
Po szczeblach grono dziewic wstępowało
W przejrzystych szatach, w przepaskach na skroni
Skrzących gwiazdami. Wszystkie hymn śpiewały
Ku Boskiéj chwale. Każdą Anioł biały
Wspierał, trzymając złotą palmę w dłoni,
I usłyszała głos taki: „Bądź rada,

„Gdyż tem widzeniem Bóg ci zapowiada,
„Iż cię nie pierwéj powoła do siebie,
„Aż, jak te, w zakon zbierzesz dziewic grono,
„Które przebywać mają niezmużoną
„Pracą na ziemi, a modlitwą w niebie.“

Więc, by się wzmocnić i podjąć to brzemię,
Spieszyła teraz zwiedzić świętą ziemię.
Ale cóż same siostry bez niéj poczną,
A cóż dopiero jeśli nie powróci?
To jest jéj troską, cichą, niewidoczną,
Która ją nieraz w podróży zasmuci.

Kto kiedy widział matkę, któréj dziecie
Gdzieś tam w dalekim zamieszkało świecie,
Jak swe sieroctwo wciąż biedna wspomina,
Jak czeka wieści, co dzień, co godzina,
Przeczuwa smutki i wszystkie podziela
Zawody, troski, wszystko prócz wesela;
Złéj wierzy, dobréj nie chce ufać wieści,
Nie dba o rady, pociechy niczyje,
Bo wtedy tylko radość czuje całą,
Kiedy to dziecię na swem sercu pieści,
Gdy sama widzi, że szczęsne, że żyje,
I tak ją kocha jak ją wprzód kochało....

Kto taką matkę w pamięci przechowa,
Ten pojmie troskę téj, co nie jak świecka
Ważyła najprzód ziemskie dobro dziecka,
Lecz dbała głównie, jak matka duchowa,
O tylu dziatek zwierzonych swéj pieczy
Zbawienie wieczne. —
I któż, któż uleczy
Ciężką jéj trwogę? Kto trudy olbrzymie
Podejmie za nią? Któż jéj prośb wysłucha?
Któż? jeśli nie Ta, któréj samo imię
Jest dla ust miodem, jest śpiewem dla ucha,
Sercu weselem, — matka wszystkich matek!
Jéj więc poleca cały swój dostatek,
Swoich prac żniwo, swe skarby jedyne,
Pewna, że Ona nie da zginąć marnie
Jéj i jéj dziełu, i że jéj drużynę
Wszystką pod płaszcz swój miłosierdzia zgarnie.



II.


Gdy z serca spadnie ciężki kamień troski,
Jakżeż to błogo spojrzeć na świat Boski.
Wtedy się zdaje, że ziemia tak cicha
Samym pokojem i szczęściem oddycha,
Ni cierń kaleczy, ni zdradą dopiecka
Gorsza nad wszystko przewrotność człowieka.
Wtedy na morzu podróżnik, niedbały
Na burze, gromy i podwodne skały,
Płynie i obaw nawet w nim nie budzi
Gorsza nad wszystko zasadzka złych ludzi.

Tak lekko gnany powiewem swobody,
Statek pomykał przez potulne wody,
Których toń modra, co nigdy nie blednie,
Tak kryształowo była wskroś pogodna,
Że oko łatwo mogło przejrzeć do dna

Morze lazurem uścielone we dnie,
W nocy gwiazdami. Czasem tylko wskrześnie
I wzbierze fala, jakby morze we śnie
Nią odetchnęło, a gdy ją uwieńczy
Pianka uwita z migotliwéj tęczy,
Zda się tak lotną jak wiosenne życie
I wieszcze myśli na niebios błękicie.

Lecz wieszcze myśli, fale i błękity
Jedna rozwiewa chwila i zachmurza.
Wicher, w kolebce pogodą spowity,
Nagle w olbrzyma rozpowija burza.

I dnia czwartego szczęśliwéj żeglugi,
Na nieboskłonie od wschodniéj krawędzi,
Ujrzano z statku pas ciemny a długi.
Wnet się do góry wznosząc ta mgły pręga,
Dwoma skrzydłami coraz wyżéj sięga,
I jak ćma straszna wprost na statek pędzi.
Zbliża się, zwiększa i już nań zapada;
Niby sęp, zanim cios śmiertelny zada,
Wkoło go ściska skrzydłami zwartemi,
Znać, że w łup wichrom chce go porwać z ziemi.
Morze się pieni, wre w głębiach nawała,
Jakby ofiarę wprzód pochłonąć chciało.
O źdźbło to walczą dwie olbrzymie moce,

Jedna się z drugą ściera i szamocc.
Straszne igrzysko, szalone to boje,
Zda się łódź kruchą rozszarpią na dwoje.
Ona drży, pęka. Woda mknie przez ścianę,
Już żagle zdarte, już maszty zrąbane.
Ster prysnął. Ciemność — nic nie widać zgoła,
Nikt o ratunek ludzki już nie woła,
Każdy Boskiego żebrze zmiłowania,
I trwożny śmierci na pokład się słania,
Krzyżem padając.
W tem pośrodku łodzi,
Jak gdy jutrzenka z nocnych obsłon wschodzi,
Wyniosła postać i przejrzyście biała
Zwiastunnem światłem nagle zajaśniała —
Anioł zbawienia! Zda się w pokład wrosła,
Stoi bez ruchu, a kiedy wmodlona
W niebo oczyma, w górę krzyż podniosła,
Wraz się rozdziera czarna chmur opona,
Burza odbiegła, ciskając ponury
Tylko grom zdala.
W około Anieli
W dziękczynnych modłach pielgrzymi klęczeli,
A przez rozsnute nad niemi lazury
Zdało się widzieć, jak aniołów chóry
Zwijały nimbus nad głową Anieli.

Wraz się majtkowie zabierają rączo
Naprawić statek, wraz wodę zeń sączą.
Łatają szpary, przybijają ściany;
Ale napróżno! Statek skołatany,
Bez steru, masztu, na bok pochylony,
Miota się, krąży wciąż na wszystkie strony.
Morze ucichło. Miałyżby te cisze
Przemódz to, czego nie przemogła burza?
Noc kir zasnuła. Biedny, ledwie dysze,
Już po sam pokład szybko się zanurza.
Niechybnéj zgubie pielgrzymowie zdani
W krzyk: „Ratuj Boże!“ —Wysłuchał. O! dziwy!
Wraz z brzaskiem dziennym jakiś prąd szczęśliwy
Wprost do kreteńskiéj zawiódł ich przystani.

Podczas gdy w Kanie*) statek naprawiano,
Aniela zwiedza kościoły co rano,
Potem wybiega na najwyższą wieżę,
Lub na wyniosłe z południa wybrzeże,
I tam na klęczkach kornie rozmodlona,
Ku Ziemi świętéj wyciąga ramiona,
Jak gdyby chciała zbliżyć ją do siebie.
Każdy też obłok zda się jéj na niebie
Wędrować ztamtąd, każdy ku jéj stronie
Powiew nieść ztamtąd drzew oliwnych wonie,

*) Miasto główne na wyspie Krecie, dzisiejszéj Kandyi.

I dźwięk, szmer każdy wzywać, by co siła
Na miejsca święte z drużyną spieszyła.

I dnia jednego pielgrzymów swych grono
Zawiodła na brzeg, i zmrużywszy oczy
Opowiadała wymową natchnioną,
Że palestyński kraj, chociaż daleki,
Widzi przed sobą cały tak uroczy
Jakby na dłoni. Lecz kiedy powieki
Znowu rozwarła—cóż to? czy mgłą czarną,
Czy grubem bielmem zaszły jéj źrenice?
Woła. Pielgrzymi do jéj stóp się garną,
Zbladłe jéj, zmierzchłe pocierają lice;
Trudno już wątpić. Oczy jéj zasnute
Kirem ślepoty. Czy to za pokutę,
Że wyprzedzając dar Boży zbyt śmiało,
Już jéj się widzieć tę ziemię zdawało,
Do któréj progu Bóg przez poczet długi
Najcięższych trudów wiedzie — dla zasługi?
Czy też zamierzył doświadczyć ją w wierze
I w wytrwałości, która łamie lody,
Przenosi góry, i z każdéj przeszkody
Nową zachętę, świeży pochop bierze?

Tak swą niedolę pojmuje Aniela,
Więc nie narzeka, ale się uśmiecha

Słodkim uśmiechem tym, co uwesela
Smętne a słodkie ociemniałych lica,
Bo ufa, że wnet nadpłynie pociecha,
Którą wyjedna im Bogarodzica.

I gdy ją naglą pielgrzymi w rozpaczy,
By do dom wracać, ona im tłómaczy,
Iż teraz przyszła dla nich pora właśnie
Dowieść, że nigdy wiara ich nie gaśnie,
Okazać wdzięczność Bogu, co, niech pomną,
Już ich wybawił z najburzliwszych toni.
On ich od dalszych przeciwieństw ochroni.
Więc cierpliwością cichą a niezłomną,
Tą przedłużoną bezkreśnie nadzieją,
Niech Jego łaskę wyprosić umieją.
Dla niéj najwyższą będzie już nagrodą,
Jeśli kalectwem tkniętą, bez sposobu
Już dojść do celu, w święty gród zawiodą,
Jeśli się dotknie kolebki i grobu
Chrystusa Pana, i jeśli w tym zdroju
Zaczerpnie siły, męztwa i pokoju,
Światła, przy którem ziemskie słońca blaski
Mierzchną jak marne i przelotne cienie,
I które hojnie strumieniami łaski
Tkniętym ślepotą śle jasnowidzenie.

III.



łyną więc daléj. Statek prosto zmierza
Do portu w Joppe. Już widać wybrzeża,
Wieże, domostwa i warownie miasta.
Ale w pielgrzymach tęskna trwoga wzrasta
Im bliżsi brzegu. Czemże to się dzieje,
Że zdala patrzym spokojniéj w nadzieję,
A gdy się spełnić ma ona za chwilę,
Natenczas obaw obsacza nas tyle,
Że się nam widzi, iż w lot tę nadzieję
Lada prąd zwichnie, lada wiatr rozwieje?

I jedna tylko wśród lękliwych wiela
Tem silniéj ufa i wierzy Aniela,
Im ją Bóg cięższą nawiedził niedolą,
Bo krzyże, wzięte ochoczo, nie bolą.

Jakoż niebawem do brzegu dobili.
I któż opisze radość ich w tój chwili,
Która się z ziemską najwyższą rozkoszą
Porównać nie da? Nasamprzód wynoszą
Anielę na ląd. Wdzięczna i szczęśliwa,
Choć nic nie widzi, z rąk ich się wyrywa,
Pada i ziemię wrzeniem łez gorącem,
I pocałunków pokrywa tysiącem.

Wstała, i zaraz radosna jéj rzesza
Ku Jeruzalem, ile sił, pospiesza
Drogą, jak gdyby kobiercami słaną
W świeżych, wiosennych traw i kwiatów wiano.
Nie są to dla niéj, ale dla niéj owe
Trwalsze, cudniejsze, świętsze, które rosną
Tam, gdzie jak myślą budzona żałosną
Marzy, że przeszły stopy Chrystusowe.

Wnet coraz cięższa droga, bo się wnurza
W jary, wąwozy, wstępuje na wzgórza.
Idą, a skoro w skał wapiennych bieli
Gród Dawidowy w trzecim dniu ujrzeli
W blasku, co siała promienność poranna,
Padli na klęczki. Poczem — o dniu błogi!
Krocząc śladami apostolskiéj drogi,

I wyśpiewując: Hozanna! Hozanna!
W jerozolimskie święte weszli progi.

I wraz ją naglą, niech z nimi bezwłocznie
Zwiedzać najświętsze pamiątki rozpocznie.
A ona na to: „Najpierwszą pamiątką
Dla nas być winna ta uboga grota,
Gdzie przyszło na świat Boże niewiniątko,
I gdzie przedwieczne zabłysło nam słowo.
Tam idźmy najprzód, nim drogą krzyżową
Wejdziem, gdzie światu panuje Golgota.“

Do Betleemskiéj więc dążą gospody.
„O! Boże światło! — rzecze, gdy schylona
Zrąb, gdzie stał żłóbek, objęła w ramiona—
Coś w téj stajence światu zajaśniało,
I ztąd rozbłysło na wszystkie narody,
Racz mnie oślepłą przejąć na wskroś całą,
Bym okiem wnętrznem rozpoznała drogę,
Na któréj jeszcze służyć Tobie mogę.“

I usłyszała dźwięczny głos z pod skały:
„Służ, jak poczęłaś, wychowuj mistrzynie,
Któreby młodzież wykształcać umiały.
Boskie to światło co na ludzi płynie,

Duszę maluczkich najprzód rozpromienia.
Czysty ten płomień chrońcie od przyćmienia,
Niechaj przebija świata mgły ponure,
Jasno i prosto zawsze dążąc w górę."

Już zmrok. Czas wracać. Lecz jeszcze pątnicy
Nie mogą rzewnéj oderwać dziewicy,
Która na dalsze żywota koleje
Pragnie zaczerpnąć ztamtąd jak najwięcéj
Promieni, jakie jeszcze dziś tam sieje
Dzieciątka Jezus uśmiech niemowlęcy.

I tak nim była w światło przemieniona,
Że kiedy w górny kościół weszli społem,
Gdzie mnogie lampy najrzęsiściéj płoną,
Zdała się z niebios przywianym aniołem.
Co ćmi swą jaśnią wszystkie blaski ziemi.
A gdy wracali w miasto, nad nią, przy niéj,
Szła taka światłość, jak ta, co srebrnemi
Szlakami wiodła Mojżesza w pustyni.

Nazajutrz jęli wraz z najrańszą zorzą
Nawiedzać każde miejsce, co się święci
Czcią jak najżywszą w chrześcian pamięci.
Na każdem klęcząc modlą się i korzą.

Ona nie widzi, ale jéj odsłania
Wszystko wzrok duszy i do serca zbliża.
Tak idąc śladem, którym od pojmania
Szedł w poniżeniu Zbawiciel do krzyża,
Wstąpili wreszcie na cierniste tory,
Jakiemi Chrystus, Boski mistrz pokory,
Niosąc na barkach grzechów ludzkich brzemię,
Krwią swą najdroższą znojnie skrapiał ziemię.

Aniela, idąc tą twardą koleją,
Nie chce nikomu już podawać ręki,
Wciąż się jéj nogi i plączą i chwieją
I potykają... Lecz ilekroć razy
Upadnie, składa swemu Zbawcy dzięki,
Że znosi choćby cząstkę Jego męki,
Że o te same kaleczy się głazy,
I że choć kropla krwi jéj na nie spłynie.

Tak na Golgotę weszli o godzinie
Męki najświętszéj; a gdy wnikli w progi
Przybytku, który pod swym stropem mieści
Piętna najsroższych Chrystusa boleści,
Wskroś ich przejmują takie dreszcze trwogi,
Taka ich żałość, taki strach ogarnia,
Jakby przed nimi cała się męczarnia

Krwawo spełniała pod zbawienia tęczą.
Trudno już głosu wstrzymać, a więc jęczą,
Padając krzyżem, gdzie w skałę krzyż wbito,
Potem klękają przed kamienną płytą,
Na któréj Boskie namaszczono zwłoki,
A ztąd się spieszą wczołgać do opoki
Grobu Pańskiego.
Tu złóż wszystkie nędze,
Pobożna duszo, bo w całéj potędze,
W całéj wielkości tu ci się odsłania
Przez śmierć i boleść tryumf zmartwychwstania.
Tu pojmiesz, czemu i czemś jest na świecie,
Poznasz, że żaden ból nie ginie marnie,
Tu dobroć Stwórcy twa myśl wręcz ogarnie,
I wdzięczne dziecię zapłaczesz jak dziecie.

Łzami takiemi Aniela płakała,
U grobu Pana padłszy na kolana,
Tak się gnąc na wskroś bołeścią złamana,
I taka blada jak kwiat, gdy opada,
Że zda się duch jéj już uleciał z ciała;
Lecz choć cierpiała każdą Mistrza raną,
Jakby ją samą na krzyż przybijano,
Było jéj przecież widno, bo duch Boży
Wiał po jéj duszy z niebiańskich przestworzy.

A nad nią w pełni słonecznéj jaśniała
Chwała ofiary i zmartwychwstań chwała.

Jak grono niewiast, co w grobie szukało
Mistrza, by drogie namaścić tam Ciało,
A nie znalazłszy, rozniosło wnet błogą
Wieść, że zmartwychwstał, tak tą samą drogą
Teraz zstępując, radośnie spieszyli
W miasto pielgrzymi, jak gdyby w téj chwili
Przez nich wszechświatu zwiastunmi anieli
Cud zmartwychwstania znów obwieścić mieli.

Szczęśni, że główny, wielki cel podróży
Już osiągnęli, chcieliby najdłużéj
Zostać w dziedzinie, gdzie każdy zakątek
Tryska zdrojami najświętszych pamiątek.
Lecz na pielgrzymkę czas im oznaczony
Wzywał i naglił ich w rodzinne strony.
Więc się kwapili uzbierać troskliwie
Coś z każdéj grzędy na téj żyznéj niwie,
Jak pszczoły z kwiatów, garnąc wspomnień miody
Dla przyszłych trudów i cierpień osłody.

I w dniu ostatnim, kiedy po raz wtóry
Do stóp Syońskiéj zbliżali się góry,

Naglo stanęli u jasnéj krynicy.
„To Siloe! — wszyscy krzyknęli pątnicy —
Chrystus ślepemu wrócił wzrok tą wodą!“
I wraz Anielę na brzeg zdroju wiodą.
„Ufajmy — mówią — wierzmy Chrystusowi,
On tu i naszę Anielę uzdrowi.“
Lecz ona: „Boskich wyroków nie minę.
Jeśli mam przejrzeć, miejsce, dzień, godzinę,
Sam Chrystus znajdzie. Dziś starczą mi blaski,
Które u grobu wzięłam z Jego łaski.
One przez całe życie mnie powiodą,
Natchną wewnętrznem światłem i swobodą.
Czyż dziś mi nie dość tego zmiłowania,
Które, świat kryjąc, niebiosa odsłania?“

Taką na podróż siłą uzbrojona,
Mężnie nietylko w swéj duszy pokona
Bolość z rozstania z świętych miejsc dziedziną,
Ale i w sercach swoich towarzyszy
Tak wszelką skargę i żałość uciszy,
Że, choć ze smutkiem, wraz ztamtąd odpłyną.



IV.


Z żalem, tęsknotą, lecz pokornie zdani
Swéj przewodniczce, z Joppejskiéj przystani
Dążą do Krety, a wysiadłszy w Kanie,
Pragnąc raz jeszcze spojrzeć, na rozstanie,
Ku Ziemi świętéj, i dostrzedz w lazurze
Choć cień jéj jaki, weszli na to wzgórze,
Gdzie kres podróży raz pierwszy objęli,
I gdzie mrok zapadł na oczy Anieli.

Pierwsza tam teraz, z wdzięczności spłakana,
Dziękując Bogu, padła na kolana,
Że jéj nie wtrącił w ciemności odmęty,
Ale za jeden zmysł ciału odjęty
Dał jéj sto innych, któremi zdołała
Nie już tak słabym, nędznym wzrokiem ciała,
Lecz wzrokiem duszy poznać doskonale,

Pojąć, przeniknąć wszystko, co ku chwale
Chrystusa Ziemia święta przechowała.
„Tu właśnie, Panie, przyjm najgłębsze za to
Me dzięki — rzekła — że ziemskich ócz stratą
Mnie nawiedziłeś, a dałeś te oczy,
Co, gdy śmiertelnym świat się wskroś zamroczy,
Widzą tak jasno, jak w samo południe.
O! i w téj chwili, o jakżeż przecudnie
Sięga swem światłem do tego przylądka
Każda Twéj ziemskiéj podróży pamiątka!
W każdą z nich wzieram, dotykam rękoma,
Zda się, że w rysach wszystkich swych widoma,
Jasna, promienna, stoi tuż przedemną!
Lecz cóż to? cóż to? Nagle jakieś ciemno
Kryć mi poczyna me jasnowidzenie,
Jak gdyby ziemskie zachodziły cienie
Na światło niebios, na postać Chrystusa.
Jestże to obłęd, czy grzeszna pokusa,
Czyli w złudzenia płodna wyobraźnia?
Coraz się bardziéj mgła ta rozwyraźnia,
Wszystko wkoło mnie ziemskie kształty wdziewa,
Wszak to mi znane brzegi, ląd i drzewa.
A więc śmiertelny wzrok mi zwracasz, Panie?
Wróć, kiedy tak chcesz, lecz niech mi zostanie
Ów droższy, którym na ziemi i niebie

W całéj Twéj chwale oglądałam Ciebie.
Dajesz czy bierzesz, niech Ci ziemia cała
Wciąż wyśpiewuje: Chwała Tobie, chwała!"

Aniela wstaje. Zdumiona gromada
Najprzód w milczeniu do nóg jéj przypada,
I nie śmie wierzyć, aż póki do koła
Nie obdzieliła wszystkich swem spojrzeniem.
Natenczas cała rzesza wraz zawoła
Okrzykiem, który wstrząsł niebios sklepieniem
I wzruszył morza bezdenne odmęty:
„Bądź, bądź uwielbion, Święty, Święty, Święty!"

Z takim okrzykiem wiodą ją do łodzi,
A już tłum z miasta drogę im zachodzi.
Cisną się do niéj chromi, niemi, ślepi,
Ufni, że wszystkich dotknięciem ukrzepi,
I cud doznany stokrotnie rozmnoży;
Lecz cuda Boże nie w mocy człowieka,
Więc wszystkim, kładąc na czole znak Boży,
Tylko swe za nich modły im przyrzeka...
A sama spieszy stanąć na okręcie,
Bo wie, że kiedy Bóg jéj wzrok powraca,
Znać, iż ją czeka nieodzowna praca,
Co jéj pragnienie winna spełnić święcie,

By mogła wkrótce na Weneckiéj ziemi
Związać swe siostry ślubami wspólnemi.

Lekko jéj nawę niesie żagiel wzdęty.
Przy niéj ozdobne dwa inne okręty
Kupców weneckich, ze świetną drużyną
I plonem zbytków, jak olbrzymy płyną.
Szła dnia pierwszego żegluga wspaniale,
Ale już w nocy, nad samem zaraniem,
Gwałtowna burza rozwściekliła fale;
Straszna swą siłą, a straszniejsza trwaniem,
Sześć dni szalała na stu mil przestrzeni.
Przez cały czas ten pielgrzymi skupieni
Koło Anieli, widząc, jak wciąż ona
Trzyma, jak Mojżesz, wzniesione ramiona,
Bezpiecznie modłom jéj się powierzali,
Pewni, że Bóg ich w jéj imię ocali.

Po złym tygodniu zabłysła niedziela,
Pełna otuchy, dzięków i wesela.
Pielgrzymi śledzą najprzód, co się stało
Z kupieckich statków parą okazałą.
Nic, nic nie widać. Wreszcie na ostatku
Sternik spostrzega, jak za prądem statku
Wiosła i maszty, i deski i belki,

Odłamy ozdób i lżejszy sprzęt wszelki,
Pieniąc się niesie rozbujała fala,
I z boku na bok skręca i przewala.
„Już się nie łudźmy wątpliwością żadną,
Że te okręty poszły oba na dno,
Orkan ocalił ten nasz statek lichy,
A zgniótł przybory próżności i pychy“ —
Rzekł, a gdy bystrzéj wzrok w przestrzeń wymierza,
Widzi, że i tę nawę ich zbawioną
Na Berberejskie wiatr zagnał wybrzeża.
Skąd pod skał wgiętych zebrane zasłoną,
Pędzą wprost ku nim mnogie zbrojne łodzie
Dzikich korsarzy. Ah! czyliżby oni
Ujść nie zdołali téj strasznéj pogoni?
Mieliżby uledz najsroższéj przygodzie?
Pójść w jassyr łotrom? — Nie — Ten, co z czeluści
Morza ich wyrwał, tego nie dopuści.
Wraz się też z boku wyrwał wiatr szalony,
Rozproszył zbrojne statki na wsze strony,
A nawę włoską pognał ku ojczyznie,
I wnet ją brzegi powitały bliźnie.

Przyjaznym wiatrem wciąż na północ gnani,
Stanęli wreszcie w Weneckiéj przystani,
A ledwie zwinne z rąk złożyli wiosła,

Już wieść sługębna po mieście rozniosła,
Jak był ich powrót trudny i wątpliwy,
Jakie w podróży spotkały ich dziwy,
Burze, zasadzki, Anieli ślepota,
I ta najdroższa chluba jéj żywota,
Cud ozdrowienia.
Ozwały się dzwony.
Zbiega się zewsząd tłum zaciekawiony,
By tę powitać, którą już poczęto,
Kochać, uwielbiać i nazywać Świętą.
I ona czule wśród przyjaciół wiela
Wita najbliższych, pamiątki rozdziela.
Lecz by ujść hołdów i wytrwać w pokorze,
Idzie co prędzéj ukryć się w klasztorze.
A dni następnych, ochoczo, wytrwale,
Służy ubogim, nawiedza szpitale,
Wszędzie głód, nędzę i smutek rozprasza.
Ubodzy mówią: „To zbawczyni nasza!“
„To nasz stróż Anioł!“ — powiadają chorzy.
I takie w mieście dobrodziejstwa mnoży,
Że najprzedniejsi chcą obywatele
W pieczy nad ludem stawić ją na czele.
Lecz ona, widząc w wszelakim zaszczycie
Przeszkodę dziełu, któremu swe życie
Całe oddała, uszła po kryjomu
Do rodzinnego i miasta i domu.

Do Brescii wszystkie na jéj powitanie
Zbiegły się siostry, w nadziei, że stanie
Teraz ich zakon. Przezorna, ostrożna,
Rzecze im ona: „Nie, jeszcze nie można.
Kiedy się czasy wypełnią, Bóg z nieba
Da nam znak jawny. Jeszcze wprzód nam trzeba
Przejść przez rozliczne przeszkód ziemskich ciernie.
Niech więc tymczasem każda biednym wiernie
Służy z osobna, naucza i leczy,
Mistrzyni świętéj nad bliźnimi pieczy,
A gdy zasłużym, w naznaczoną porę
W jeden was zastęp, choć najniższa, zbiorę.“

Spełna lat dziesięć jeszcze przeminęło,
Zanim rozwinąć mogła święte dzieło.
Głody, zarazy, wojenne zasadzki,
I niedowiarków podstęp świętokradzki
Stawał jéj w drodze.
Wreszcie utęskniona
Nadeszła pora. Jawią się znamiona
Boskich wyroków i za łaską Bożą
Błogie Anieli widzenia się mnożą.
W jednem z nich błyska barw przecudnych tęcza,
A na niéj schodzi z swych dziewic orszakiem
Święta Urszula, i sztandar jéj wręcza,

Mówiąc: „Idź śmiało, mężnie pod tym znakiem
Rycerko Boża, w świat na bojowanie.
Krusz pęta grzechu, ciemnoty okowy,
Szczep latorośle, a z czasem ród nowy
Dzielny i wierny z tego pnia powstanie.“

Pełna otuchy, ufna w to przymierze,
W wzniosłe to hasło i duch w niem proroczy,
Świętą Urszulę za patronkę bierze,
Pod jéj wezwaniem swe siostry jednoczy,
Wiąże ustawą, i w wspólnéj naradzie
Pierwszy fundament zakonowi kładzie.

Lecz ujrzeć końca budowy nie miała.
Pan ją dojrzałą uznał do nagrody,
I w chór aniołów wezwał, a jéj chwała
I cześć powiała przez wszystkie narody.

Wzmogło się w zakon niebawem jéj dzieło;
Strażą nauki i cnoty i wiary,
Po wszystkich ziemiach, jak twierdza stanęło;
I w sercu dziewic Boskie szczepiąc dary,
Wzbiło je w szczytne macierzyństwa cele,
I w zbawczych pracach stawiło na czele.

I dzisiaj, chociaż prześladowcza tłuszcza
Do owych strażnic ciągle szturm przypuszcza,

Choć z nich bezbożność załogę wygania,
Wierne wielkości swego powołania,
Córki Anieli i Świętéj Urszuli,
Kędy je tylko jaki kraj przytuli,
Kształcą mu dziatki, by rosły za młodu
Na chwałę Bogu i szczęście narodu.

Więc dziś, gdy cztery upływają wieki
Od światu błogich narodzin Anieli,
Cały się zastęp jéj córek weseli,
I przyzywając ciągłéj jéj opieki,
By w jéj ślad mogły pracować wytrwale,
Pieśń uroczystą wznoszą ku jéj chwale:

Czterowiekowéj hołdem pamięci
Niechaj dzisiejszy dzień nam się święci,
Niechaj się wszyscy wierni weselą,
Wznosząc ku Tobie w tkliwéj podzięce,
Serca i ręce,
Święta Anielo!

Duchem, co płonie w Twoim zakonie,
Ty wychowujesz na wiary łonie
I Kościołowi najczulsze dziatki,
I te, co drogę przyszłości ścielą,
Narodów matki,
Święta Anielo!

I wciąż się spełnia widzenie Twoje.
Oto wstępuje w niebios podwoje
Poczet Aniołów z córkami Twemi,
Co przebywały, biorąc wzór z Ciebie,
Pracą na ziemi,
Modlitwą w niebie.

W ich ręku palmy, jak słońca blaski,
To męczenniczek miłości godła.
Nad ich skroniami promienie łaski,
Co je przez trudy najcięższe wiodła,
Przecudnie płoną
Chwały koroną.

O módl się za nas, byśmy zdołały
Stać się godnemi naszych siostr chwały,
I abyś mogła pokornem gronem
Stawić nas z chlubą wszystkie przed tronem
Boga-Rodzicy,
Matki-Dziewicy.

A dziś, wśród burzy, weź w swą obronę
Naszéj opiece dziatki zwierzone,
By bez skaz przeszły świata pustkowie,
I mogły z niebem stwierdzać przymierze,
W nietkniętéj wierze,
W ojczystéj mowie.

Wyproś u Boga już zmiłowanie,
By prześladowcy cudem przejrzeli.
Wolni ślepoty, niech się ukorzą,
I niechaj zgoda i mir nastanie
Zwiastunną zorzą
Wieków niedzieli.

Więc w téj nadziei i w téj pamięci
Niechaj dzisiejszy dzień nam się święci —
Gdy w świecie smutek, w Bogu wesele —
Wznośmy w niebiosa hymny i psalmy,
Błagajmy, chwalmy
Świętą Anielę.



